

# Teatr w czasach zarazy

Słynne przedstawienie Teatru Współczesnego w Szczecinie łądzianie mogli zobaczyć podczas XXIX Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Na scenie zaskakujący widok: wyłożone słomą boksy jak dla zwierząt, w barłogach, na zniszczonych materacach, leży kilka osób. Między nimi poruszają się kolejne, w strojach pielęgniarzy. Jesteśmy w stajni czy w „Locie nad kukułczym gniazdem?”. Jest znacznie gorzej. To oddział psychiatrii dziecięcej w Polsce. Przepelniony, dramatycznie niedoinwestowany, z brakiem kadr. A statystyki prób samobójczych stale wzrastają. Dzieci po takich przeżyciach powinny trafiać do ośrodka, w którym uzyskają terapeutyczną pomoc, do symbolicznego czyścca – a lądują w piekle.

Teatralna opowieść staje się tym bardziej wstrząsająca, że oparto ją na autentycznych wydarzeniach, przedstawionych w reportażach Janusza Schwertnera („Miłość w czasach zarazy”, „Piżamki” oraz napisana wspólnie z Witoldem Beresiem książka „Szramy”), materiałach dokumentalnych i wywiadach zarówno z pacjentami, jak i ich rodzicami. Dzięki napisom pojawiającym się na górze sceny dowiadujemy się, że przedstawione w spektaklu sytuacje miały miejsce na trzech oddziałach psychiatrii dziecięcej: w Józefowie pod Warszawą, na oddziale leczenia nerwic w Garwolinie oraz w szpitalu na Srebrzysku w Gdańsku. Autorami scenariusza są Weronika Murek i Jakub Skrzywanek.

Oczywiście boksy i słoma to teatralna licentia poetica, szkoda, że przedstawiane wydarzenia już nią nie są. Szpital psychiatryczny jawi się jako skrzyżowanie instytucji totalnej z pruską szkołą. Wszyscy pacjenci dostają te same leki, zasadniczo przeznaczone dla osób chorych psychicznie z zaburzeniami zachowania, rodzice często dowiadują się o podawaniu medykamentów już po wdrożeniu leczenia. Tymczasem spora część pacjentów to młodzież w kryzysie. Są wśród nich osoby po próbach samobójczych, ofiary przemocy rówieśniczej, osoby LGBTQ+ czy zmagające się z brakiem akceptacji otoczenia. Na oddziałach brak profesjonalnej terapii grupowej i indywidualnej, lekarze bywają tu rzadko, a jeśli się pojawiają, stosowane przez nich metody leczenia to zadawanie za karę lektur do czytania (tak, „Pana Tadeusza” też) bądź wierszyków do recytowania („Treny” Kochanowskiego). W najlepszym razie „lekarz” zaleca dziecku powtarzanie sobie do lustra „Jestem piękny i wartościowy”, jednocześnie je upokarzając. Zdarza się, że Wiktor, który urodził się jako dziewczynka i przeraźliwie z tego powodu cierpi, marząc o tranzycji, lekarz zachęca do „spróbowania pieszczot z mężczyzną, może coś w nim to obudzi”. Dzieci i młodzież pozostają pod faktyczną opieką pielęgniarek i pielęgniarzy, często przemęczonych, niekompetentnych i z przemocową komunikacją, choć wykazujących ludzkie odruchy. Brak wystarczającej liczby personelu i skutecznego systemu opieki nad dziećmi skutkuje nadużyciami i utrwalaniem traumy zamiast jej leczeniem. Ofiara przemocy w szkole zostaje zgwałcona i gdyby nie stanowcza interwencja matki, nie dostałaby nawet tabletki antykoncepcyjnej. Wiktor znów nazywany jest Wiktoria i wielokrotnie upokarzany. Buntująca się pacjentka nazywana Gwiazdą po raz kolejny dokonuje samookaleczeń. Wiktor (postać autentyczna) w końcu się zabije – po wyjściu ze szpitala.

Przykuwającym uwagę chwytem teatralnym są decyzje obsadowe. Nieletnich pacjentów grają aktorzy w wieku średnim i dojrzałym, a personel szpitala i rodziców – aktorzy od nich młodszy. To odwrócenie buduje nowe sensory. Czy gdyby na te oddziały psychiatryczne nie trafiały dzieci, tylko osoby dorosłe, potraktowano by je lepiej? Czy szacunek zależy od wieku? A może nieletni pacjenci oddziałów psychiatrycznych przeszli już tak wiele, że trudnymi doświadczeniami mogliby obdzielić niejedną dojrzałą osobę. Nie bez znaczenia pozostaje cielesność aktorów, obnażana podczas przebierania się czy innych czynności, wykonywanych zawsze w obecności innych, bo na oddziałach prawo do prywatności nie istnieje. Ciała są nieupiększane, niemal bezradne w swojej zwyczajności, naznaczonej przemijaniem.

W drugiej części spektaklu następuje zaskakujący przeskok stylistyczny. Scena wypełnia się tańczącymi postaciami, śpiewami na ludową modłę, rytuałem weselnym. Nie sposób oderwać wzroku od barwnych kostiumów i folkowych stylizacji zastosowanych na przekór tradycji – kobiety występują w strojach męskich i kapeluszach, mężczyźni w barwnych spódnicach. Dominuje motyw tęczy, symbol LGBTQ+. Kulminacyjnym momentem okazuje się złożenie przysięgi małżeńskiej przez dwie kobiety w pięknych strojach i ogromnych kwiatnych wiankach na głowach. Urzędniczka podkreśla, że udziela ślubu niezgodnego z polskim prawem. Ale jednak ogłasza zawarcie związku małżeńskiego.

Spektakl przemawia tak silnie nie tylko ze względu na wagę podejmowanych problemów, artystyczny rozmach i odważne „przeskakiwanie” pomiędzy różnymi stylistykami. Niesie w sobie wiarę w siłę oddziaływania teatru, co obecnie zdarza się rzadko. Zdawało się, że już wszyscy zgodzili się co do kwestii, że nie da się zmienić świata za pomocą sztuki. Tymczasem przeniesienie na teatralne deski palących problemów społecznych czytam jako wyraz przekonania, że teatr ma moc zmieniania rzeczywistości pozascenicznej na lepsze. Oraz siłę kreowania tego, co na razie wydarzyć się nie może, jak ślub dwóch kobiet w Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwsza część „Spartakusa” przywodzi na myśl piekło i przedsiónek czyścica, druga – trochę zakłęcie, trochę marzenie, wymawiane głośno, z radością podszytą niepokojem. Obie części spektaklu to wyjątkowo porządna, teatralna robota.

## **Paulina Ilska**

**„Spartakus. Miłość w czasach zarazy”, reżyseria - Jakub Skrzywanek. Teatr Współczesny w Szczecinie. Spektakl w ramach XXIX Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Łodzi.**